

Długo i szczęśliwie  
(Ever After)  
Susan Palwick  
Przełożył: Jacek Manicki

- Aksamit - mówi odgarniając z czoła zmierzwiłone podczas snu włosy. - Tym razem pragnę zielonego aksamitu z koronką przy dekolcie i mankietach. Koronka kremowa - nie biała - i aksamit w kolorze morskiej zieleni. Potrafisz to zrobić?
- Oczywiście. - Już staje się próżna; próżna i trochę apodyktyczna. Przestała się już dziwić. Będzie dobrze. Teraz już niedługo, bardzo niedługo będę musiała powiedzieć jej prawdę. Pochyliła się w ciemnej kuchni, żeby spojrzeć w pokrywkę matczynej miedzianego kociołka. Zapadł właśnie zmierzch i w świetle latarni, którą trzymam, po metalu tańczy migotliwe, mgliste odbicie. Krzywi się.
- Czy możesz mi dać prawdziwe zwierciadło? To nie powinno być takie trudne. Pamiętam, jak napełniło ją zachwytem światło, które przyniosłam. Marnować dobre paliwo tylko po to, by się przejrzeć!
- Żadnych zwierciadeł. Nie ubieram cię naprawdę, a tylko na pozór. Przecież wiesz.
- Och. - Macha niedbale dłonią. Jest dumna ze swych dłoni: są delikatne, mleczno-białe, o długich palcach; to dłonie szlachetnie urodzonej kobiety; przez wszystkie te lata, zanim się zjawiłam, chroniła je przed ciężką pracą w matczynej kuchni. - Tak, książę. Muszę poślubić księcia i wejść w ten sposób w posiadanie jego klejnotów. Myślisz, że uda mi się tym razem?
- Na tych tańcach nie będzie żadnych księżąt, Caitlin. Nabierasz dopiero ogłady przed spotkaniem księcia.
- Ha! A kiedy już w końcu nabiorę dostatecznej ogłady, to pozwolisz mi założyć szklane pantofelki?
- Nie ma mowy. Mogłabyś je stłuc tańcząc gawota i pokaleczyć się. - Znała już tę historię, zanim ją odnalazłam; one wszystkie je znają. Wchodzi im w krew, gdy tylko zaczynają rozumieć mowę i zapada w serca niczym obietnica wiosny. Wszystkie biedne matki opowiadają tę historię swoim córkom siedząc z nimi w ciemnych kuchniach, szorując garnki i starając się oszczędzać dłonie na dzień, kiedy bajka się urzeczywistni. Zastanawiam się często, czy ta pierwsza młódka była jedną z nas, ale te fakty się nie liczą. Podobnie jak wszystkie dobre opowieści, ta też jest prawdziwa.
- Księżniczka Caitlin - mówi z rozmarzeniem. - To będzie wspaniałe. Och, jak mi będą zazdrościć! Już się zaczęło, przez ten krótki czas, od kiedy uczyniłaś mnie piękną. Wstrętna, stara Lady Alison - widziałaś, jak patrzyła na mnie krzywym okiem na ostatnim balu? Czy tylko dlatego, że moja skóra jest gładka, a jej pomarszczona i że jestem nowo przybyła?
- Tak - mówię.
- Wystrzegam się Lady Alison, która tak srogo wygląda i tak mało mówi. Lady Alison jest niebezpieczna.
- Zazdrosna - mówi z zadowoleniem Caitlin. - I ja byłabym zazdrosna wyglądając jak ona.
- Jesteś śliczna - mówię i nie przesadzam. Z tymi błękitnymi oczętami, kruczoczarnymi włosami i z tymi dłońmi mogłaby przyciągnąć oko wielu księżąt bez niczyjej pomocy. Z tym, ma się rozumieć, że gdyby nie ja, nigdy nie mieliby okazji jej zobaczyć.
- Śmiejąc się siada, żebym zaplotła jej włosy.
- Jakaś ty poważna! Nigdy się do mnie nie uśmiechasz. Czy czarodziejki nigdy się nie uśmiechają? Nie jesteś ze mnie dumna?
- Bardzo dumna - mówię rozdzielając gęstą kaskadę jej włosów i przystępując do zaplatania warkoczy. Zalatuje od niej dymem i chudym, skwaśniałym gulaszem, który dusi się na palenisku, ale dziś wieczorem na tańcach pachnieć będzie letnim kwieciami.

- Czy uśmiechniesz się i roześmiejesz, kiedy dostanę moje klejnoty i ziemię? Obsypię cię wtedy bogactwem.

Tak szybko, myślę i dech mi zapiera. Tak szybko obiecuje mi prezenty i zapomina o kobiecie, która wydała ją na świat i która leży teraz chrapiąc w sąsiedniej izbie. Będzie dobrze; a jednak doznaję czegoś bardzo przypominającego współczucie.

- Każda żona ma tylko tyle bogactw, ile dostanie od swojego lorda, Caitlin. Przynajmniej w tym królestwie.

- Kiedy wyjdę za mąż, będę miała własne bogactwa - odpowiada wyniośle; i nagle jej twarz chmurzy się, jak gdyby żałowała, że zapomniała. - Moja matka też będzie wtedy bogata. Dlaczego teraz cię nie lubi, matko chrzestna?

- Bo zabieram jej ciebie. Jej nigdy nie zaproszono na bal. I dlatego, że jestem piękna, a ona już nie.

W tym, co powiedziałam, jest jak zawsze sporo prawdy; i jak zawsze zaczynam się zastanawiać, czy są jeszcze jakieś inne przyczyny. Nieważne. Jeśli nawet matka Caitlin coś podejrzewa, to nic nie mówi. Jestem jedyną szansą na to, by wraz z córką awansowały do szlacheckiego stanu i w imię tego marzenia toleruje moją obecność oraz dziwaczne nowe nastroje Caitlin i rozkład dnia, na mocy którego dziewczynie oszczędzane są wszelkie prace, by zachowała świeżość na tańce.

Caitlin pochyla głowę i błyszczące warkoczki prześlizgują mi się przez palce niczym woda.

- Gdy poślubię księcia, będzie mogła przychodzić na zamek, kiedy tylko zechce. Wtedy i ją uczynimy piękną. Kupię jej wspaniałe szaty i szminki do twarzy.

- Ciężą na niej lata znoju, Caitlin. Lady Alison jest w wieku twojej matki i wszystkie jej bogactwa nie są w stanie zwrócić jej urody.

- Och, ale Lady Alison jest podła. To szkodzi urodzie. - Caitlin lekceważy swego wroga z ignorancją właściwą młodości. Lady Alison nie jest podlejsza od kogokolwiek innego, ale odcisnęła na niej swe piętno choroby, bezdietność i niewierność jej bogatego lorda. Tego wieczora w Caitlin zakocha się jej młody bratanek - podejrzewam, że wybrankę zasugerował Lord Gregory właśnie dlatego, że Alison się temu sprzeciwi.

Włosy Caitlin są już ułożone, upięte wysoko w zwinięte, połyskliwe warkoczki.

- Masz zaproszenie? Gdzie ja je położyłam?

- Na stole, przy cebulach.

Kiwa głową, przechodzi przez izbę, chwyta arkusik grubego papieru i wachluje się nim.

Pamiętam jej pierwsze zaproszenie sprzed zaledwie sześciu tańców, jej zapał, niewinność i czystość, te szeroko rozwarte oczy i zachwyt. Ja? Ja zostałam zaproszona na bal? Nie chciała wtedy wypuścić zaproszenia z rąk; bała się, że może zniknąć tak samo nagle, jak przyszło, wiele godzin nosiła je przy sobie. Za tym pierwszym razem, kiedy najpełniej uwierzą w tę historię i są najbardziej wstrząśnięte faktem wyboru do odegrania roli bohaterki, są zawsze najpiękniejsze. Żaden splendor, jakim je potem otaczamy, nie może dorównać temu pierwszemu blaskowi.

- Ubierz mnie - rozkazuje teraz Caitlin stając z zamkniętymi oczyma pośrodku kuchni i sprowadzam na nią przepych, i pragnienie z ułudą przekształcają jej plugawą kuchenną kieckę w jedwab koloru morskiej zieleni oblamowany kremową koronką. Uśmiecha się. Otwiera oczy, które błyszczą radością i zawrotem głowy wywołanymi przemianą. Łatwo przywykła do tego tempa zmian; łaknie ich. Porzuciła już sny o miłości dla snów o władzy.

- Jestem głodna - mówi. - Chcę coś zjeść przed tańcami. Co to była za zupa, którą dałaś mi zeszłego wieczora? Musiałaś dodać do niej wina, bo się upiłam. Chcę jej jeszcze.

- Żadnego jedzenia przed tańcami - mówię jej. - Nie chcesz chyba wyglądać grubo, prawda? Nie ma o to obawy w przypadku dziewczyny, która przez całe życie przymierała głodem w nędznej kuchni; ale na myśl o tańczeniu zapomina o głodzie i robi kilka lekkich kroków w rytm wyimaginowanej muzyki.

- Pozwól mi tym razem zostać dłużej - proszę cię. Tylko godzinkę albo dwie. Już się nie zmęcę.

- Do północy - mówię stanowczo. Nie ma co zmieniać tego fragmentu bajki, dopóki nie dowie się wszystkiego.

Tak więc jedziemy na tańce w sfatygowanej karocy olśniewającej blaskiem nie za sprawą żadnych moich czarów, a wiary Caitlin we własną urodę. Tego też łatwo się nauczyła; uroki są już bardziej jej niż moje, chociaż jeszcze sobie tego nie uświadamia.

W bramie Caitlin wręcza zaproszenie lokajowi. Upodobała sobie ten moment, ten dreszczyk emocji towarzyszący naginaniu tego człowieka do swojej woli świstkiem papieru, zmuszaniu go do wpuszczenia kogoś, kogo - całkiem słusznie - podejrzewa, że nie zasługuje na wpuszczenie. To bardzo ważne, że nauczyła się tej gry. Później nauczy się jeszcze sama zdobywać zaproszenia, pochlebstwami nakłaniać możnych do wpuszczania jej tam, gdzie bez ich przyzwolenia nie byłaby w stanie się dostać.

Tylko że dzisiejszego wieczora jest to trochę trudniejsze. Lokaj zerka na kopertę, marszczy czoło i mówi:

- Przykro mi, ale nie mogę was wpuścić.

- Nie możesz nas wpuścić? - w głosie Caitlin pojawia się ton lodowatego oburzenia, tak więc pozwalam jej mówić dalej. Tego też musi się nauczyć. - Nie możesz nas wpuścić na zaproszenie skreślone ręką samego Lorda Gregory'ego?

- Właśnie, o pani. Lady Alison wydała polecenie...

- Lady Alison nie wystosowuje zaproszeń.

Lokaj chrząka, przestępuje z nogi na nogę.

- Właśnie. Mam bardzo rygorystyczne polecenie...

- Co polecił Lord Gregory?

- Lord Gregory nie...

- Zaproszenie jest wypełnione ręką Lorda Gregory'ego. Lord Gregory pragnie nas gościć. Źle by się dla ciebie skończyło lokaju, gdyby Lord Gregory dowiedział się, że bronisz nam wstępu.

Lokaj podnosi na nas wzrok; jest zdeprimowany.

- Właśnie - bąka niepewnie.

- Wstawię się u niej za tobą - mówię do niego, Caitlin uśmiecha się do mnie, przejeżdżamy przez bramę, mijamy wspaniałe ogrody i wysokie, równo przystrzyżone żywopłoty. Opadam na oparcie siedzenia drżąc na całym ciele. Lady Alison jest bardzo niebezpieczna, ale popełniła błąd. Sługa nie był w stanie zakwestionować zaproszenia wystosowanego przez jej męża; osiągnęła tylko tyle, że nas ostrzegła.

- Dzisiejszego wieczora bądź bardzo ostrożna - mówię do Caitlin. - Unikaj jej.

- Najchętniej wydrapałabym jej oczy! Jak śmiała ta zazdrosna stara...

- Unikaj jej, Caitlin! Ja się nią zajmę. Nie chcę cię widzieć nigdzie w jej pobliżu.

Ulega. Słyszemy już muzykę dochodzącą z wielkiej sali i Caitlin przytupuje do taktu, a oczy jej jaśnieją.

Uczestnikami dzisiejszych tańców są ci sami ludzie, którzy zawsze w tańcach uczestniczą; teraz znają ją tu już wszyscy. Ekscytuje mężczyzn i wyprowadza z równowagi kobiety, a gdzie przechodzi, pozostawia za sobą pasmo niezręcznego milczenia, w ślad za którym ciągną się przytłumione szepty. Wyteżam słuch, by podsłuchać, co mówią, ale wychwytyuję tylko zwykłe komentarze co do jej młodości, urody i niskiego urodzenia.

- Sądzisz, że jest czymś dzieckiem z nieprawego łóża?

- Na pewno konkubina.

- Ta nigdy nie wstąpi do klasztoru.

- Zwyczajna łowczyni mężów i wkrótce może jakiegoś upolować. Wolałabym, żeby to nie był mój.

Jak zwykle. Dostrzegam Lady Alison siedzącą po drugiej stronie szerokiej sali. Przygląda się nam spod przymrużonych powiek. Powykręcana artretyzmem dłoń przyozdobiona drogocennymi pierścieniami postukuje ostentacyjnie o kolano. Widzi, że ją obserwuję i bez zmrużenia oka wytrzymuje moje spojrzenie. Żegna się znakiem krzyża.

Odwracam wzrok żałując, że tu przyszłam. Co ona zamierza? Ciekawe, ile dowiedziała się z samej obserwacji i ile umknęło uwagi Gregory'ego. Ponownie omiatam wzrokiem salę i dostrzegam go w kącie bawiącego się kielichem wina. Obserwuje Caitlin z takim samym przejęciem, co jego żona, ale z odmiennym zgoła wyrazem twarzy.

Wśród wielu innych, którzy rzucają Caitlin ukradkowe spojrzenia, by zaraz odwrócić spłoszony wzrok, jest jeszcze ktoś, kto ją obserwuje: Randolph, młody bratanek Gregory'ego, kawaler wysoki, dobrze zbudowany, o urodziwej twarzy. Caitlin szuka u mnie wzrokiem potwierdzenia, a ja kiwam głową. Uśmiecha się do Randolpha - tego zalotnego uśmiechu wcale nie trzeba jej było uczyć - i ten wyciąga rękę, by poprosić ją do tańca.

Przyglądam im się przez chwilę obserwując bacznie, jak Caitlin podnosi wzrok na swego partnera, jak przechyla głowę, jak trzepocze powiekami. Zaczęła od uśmiechu, resztę dałam jej ja. Dobrze opanowała te umiejętności.

- A więc - odzywa się ktoś za moimi plecami - przyzwyczajają się powoli do tych zarwanych wieczorów.

Odwracam się. Za mną stoi szpetna i zasuszone Lady Alison, która z nieprawdopodobną szybkością zdążyła przeciąć salę.

- Przywykła do nich niemal tak samo, jak ty - mówi. Skłaniam głowę przytakując ostrożnie.

- Albo ty sama - mówię. Ci, którzy pragną tańczyć w tych salach muszą się nauczyć obywatela bez snu.

- Mała drzemka w dzień. - Usta jej drgają. - Jestem ciotką Randolpha, pani. Dopóki pozostaje w tych murach, obowiązek opieki nad nim spoczywa na mnie, tak samo jak na tobie spoczywa obowiązek opieki nad tą dziewczyną. Nie cofnę się przed niczym, by go ustrzec. Wybucham gardłowym chichotem, który przeraża Gregory'ego, ale jest tak samo wystudowany, jak zalotność Caitlin.

- Przed tańczeniem z ładną, młodą kobietą?

- Przed pozostaniem sam na sam z tymi, które go usidlą wykorzystując w tym celu jego własną ignorancję. O wiele za mało wie o świecie; pokłada więcej wiary w bajkach, niż w historii i ani ja, ani Kościół nie jesteśmy w stanie wyperswadować mu, by uwierzył w szatana. Zaklinam cię na naszego Pana w niebiesiech i jego świętych apostołów, opuść ten dom.

- A więc to ty wydałaś rozkazy służbie przy bramie. - Jej pobożność przyprawia mnie o mdłości, co niewątpliwie leży w jej intencjach, i z pewnym wysiłkiem udaje mi się zapanować nad głosem. - Panem tego zamku jest Lord Gregory, Lady Alison, na którego zaproszenie tu jesteśmy i z którego gościnności nadal zamierzamy korzystać.

Krzywi się.

- Choć moja władza nie rozciąga się na dobieranie sobie gości, ja też mam tutaj coś do powiedzenia. Bacz dobrze na swoją podopieczną.

- Nie ma potrzeby. Oni tylko tańczą. - Zerkam na Caitlin i Randolpha, którzy są tak pochłonięci sobą, jakby oprócz nich w sali nie było nikogo. Na twarzy Randolpha maluje się odurzenie i zachwyty; twarz Caitlin, kiedy ją wreszcie dostrzegam, jest rozkochana i pełna żaru. Marszczę czoło pod wpływem opanowującego mnie nagle uczucia niepokoju; to przychodzi zbyt szybko, jest o wiele za słabo kontrolowane i może świadczyć o czymś więcej niż samej tylko grze.

Lady Alison prychnęła.

- Gwarantuję, że teraz obojgu sam taniec już nie wystarczy, chociaż każde z nich pragnąć będzie czego innego. Bacz na nią - bo jak nie, to ja cię wyręcę i na pewno w mniej układny sposób.

Z tymi słowami odwraca się i znika w tłumie. Odwracam się plecami do młodej pary z myślą, że dzisiejszego wieczora faktycznie przydałaby się tu przyzwoitka; ale muzykanci zaczęli grać menueta i Caitlin z Randolphem stawiają z gracją kolejne kroki tańca tak pogmatwane i wymierzone, jak każda dworska intryga. Sam taniec zagwarantuje im na chwilę bezpieczeństwo.

Ja przesuwam się teraz w kierunku Gregory'ego dryfując z wolna wokół ludzkich skupisk, jakbym tylko lustrowała tłum. Alison zajęła pozycję, z której dobrze widzi Caitlin i Randolpha pochylających się i wirujących w rytmie tańca; mam nadzieję, że nie zauważy, jak rozmawiam z jej mężem.

- Jest bardzo piękna - mówi cicho Gregory, kiedy staję wreszcie u jego boku. - Ładniejsza nawet od ciebie, moja droga. Jakąż czarującą parę tworzą. Dużo bym dał, żeby na kilka taktów tego tańca znaleźć się w skórze Randolpha.

Sądzi, że potrafi wzbudzić we mnie zazdrość. Gdyby był to jakiś inny bal, mogłabym udać, że dopiął swego, ale dziś wieczorem nie mamy czasu na gry.

- Gregory, Alison usiłowała zatrzymać nas przy bramie. I wręcz mi groziła.

Gregory uśmiecha się.

- Postąpiła głupio. I na nic się to zdało.

- Zgoda - mówię, chociaż podejrzewam, że Lady Alison ma jakieś sposoby, o których żadne z nas nie wie. Ma je większość żon szlachetnie urodzonych: zaufani słudzy, oddani kapłani, sieć szpiegów w kuchniach i na korytarzach.

Gregory wyciąga rękę, by dotknąć mojego policzka; odsuwam się od niego zakłopotana. Każdy tu podejrzewa, że jestem jego kochanką, ale niewiele jest sensu w dawaniu tym podejrzeniom publicznego dowodu. Gregory śmieje się cicho.

- Nie musisz się jej obawiać. Kocha tego chłopca i pragnie tylko trzymać go jak w klasztorze, w kaplicy z nosem w Piśmie Świętym. Tłumaczę jej, że nie jest to odpowiednie zajęcie dla młodego mężczyzny, a już z pewnością żadna szkoła życia dla utytułowanego lorda, który musi się uczyć, jak stawiać czoła zalotom o wiele bardziej doświadczonych kobiet. Niech się więc weselą z naszą małą Caitlin i uczą jedno od drugiego, a obojgu na dobre to wyjdzie. Popatrz, jak tańczą!

Tańczą tak, jak uczyłam Caitlin tańczyć z książętami: stawiając niespiesznie kroki, dotykając się koniuszkami palców, rozchylając lekko wargi i patrząc na siebie promiennymi oczyma. Alison nie spuszcza z nich wzroku i jest wyraźnie zaniepokojona, a ja chcąc nie chcąc odczuwam to samo. Caitlin zbyt rzuci się w oczy, zbyt się zapomina; nie minęła jeszcze godzina, a ona znowu stała się niewinna. Przypominam sobie, co Alison powiedziała o historii i o bajkach; jeśli Caitlin i Randolph uwierzą oboje, że są z tej samej starej baśni, sprawy skomplikują się dla nas wszystkich.

- Niech nacieszą się sobą - mówi cicho Gregory. - Potrzeba im obojgu odrobiny szczęścia - Randolphowi, którego ojciec na pewno umiera i którego oszołomią wkrótce zawilości władzy, i Caitlin, która przekona się niebawem o swej prawdziwej naturze. Nie możesz dłużej tać tego przed nią, Juliano. Zbyt się zmieniała. Niech przez tę jedną noc będą szczęśliwi; i niech ich opiekunowie chociaż raz zaniechają ostrożności i czerpią pożytek z ich przykładu. Sięga znowu po moją dłoń, przyciąga bliżej i nie chce puścić. Jego oczy błyszczą tak samo, jak oczy Randolpha; wypił chyba za dużo wina.

- Pożytek z lekkomyślności? - pytam wyszarpując palce z uścisku jego dłoni. Alison odwróciła wzrok od bratanka i patrzy teraz beznamiętnie w naszą stronę. Słyszę wokół pomruki; młody dandys w purpurowych atłasach i zielonych pończochach unosi brew.

- To mój zamek - mówi Gregory. - Moje sale i ziemia, moi muzykanci, moja służba i kler, i szlachta; to moja żona. Nikt nie może cię tu skrzywdzić, Juliano.

- Nikt nie przyjdzie ci z pomocą, mój panie. Racz zachować rozsądek...

- To moje zaproszenie. - W jego głosie niewiele teraz ogłady. - Podobnie jak już nie raz bywało, to moje zaproszenie umożliwiło ci wstęp; zapewniam ci splendor, wspaniałe wyżywienie i teren do szkolenia tej dziewczyny, i rad jestem z tego. Nie jestem niewolnikiem kapłanów Alison, Juliano; bardzo dobrze zdaję sobie sprawę, że nie jesteś szatanem.

- Racz mówić ciszej i zachowywać się dyskretniej, milordzie! - Dandys stara się teraz jak może, by wyglądać na zupełnie nami nie zainteresowanego i ostentacyjnie zachwycę się kłasią winogron. Caitlin i Randolph zapatrzeni w siebie kołyszają się w ostatnich taktach menueta.

Gregory ciągnie tym samym tonem.

- Ostatnio więcej uwagi poświęcałaś Caitlin, niż mnie. Nawet szlachetnie urodzeni są ludźmi i można ich zranić. Niech młodzi mają dziś w nocy swoje przyjemności, a ja swoje.

Ponieważ uparcie nie zniża głosu, ja zniżam swój.

- Co, na środku sali balowej? Ależ widowisko mieliby twoi goście! Przyjdę do ciebie jutro...

- Dzisiaj - mówi w ciszy, jaka zapada nagle po skończonym tańcu. - Przyjdź do mnie dziś w nocy do tej co zwykle komnaty...

- Marna to lord, co zostawia bez opieki swych gości - przypominam mu ostro - i marna to nauczycielka, co porzuca swoją uczennicę. Wybacz mi, proszę.

Znowu wyciąga do mnie rękę, ale wymykam mu się i ruszam na poszukiwanie Caitlin klucząc między wytwornie odzianymi lordami, damami i dworzanami, wychwytyjąc strzępy plotek i rozmów.

- Widziałaś, jak tańczyli...

- Tak więc dziczyzna mi szkodzi, ale dzięki bogini była to tylko drobna dolegliwość...

- Ach, ta fioletowa jedwabna suknia Penelopy! Powiedziałam, mój drogi, że po prostu muszę mieć ten wykrój i spytałam, gdzie znalazła tę krawcową...

- Brat Gregory'ego dogorywa, a młody dziedzic tutaj? Żadnemu wujowi nie można tak dalece ufać. Najlepiej, żeby ten chłopak miał zawsze w gotowości ostry sztylet i oczy szeroko otwarte, ja to mówię.

Ten ostatni komentarz sprawia, że przyspieszam kroku. Brat Gregory'ego jest zwyczajnym diukiem, ale jednak szlachcicem, a Gregory jest drugim, po Randolphie, pretendencem do spadku. Jeśli Randolph znajduje się w niebezpieczeństwie, a Caitlin jest z nim...

Byłam głupia. Nie powinnyśmy tu przychodzić i musimy wyjść. Z większym niż dotąd niepokojem przeczesuję wzrokiem barwny tłum wypatrując Caitlin, ale moje obawy są bezpodstawne; ona dostrzega mnie pierwsza i rzuca się ku mnie rozpromieniona.

- Och, matko chrzestna...

- Caitlin! Słuchaj, moja droga, musisz pozostać przy mnie...

Ale nie dosłyszała, co mówię.

- Matko chrzestna, on jest taki słodki i miły, tak trapi go choroba ojca, a mimo to stara się być wesół - widziałaś, jak tańczył? Dlaczego mam pokochać właśnie księcia? Nie dbam o to, że nie jest księciem, naprawdę nie dbam, a jeszcze pięć dni temu wżgardziłam tamtym gamoniowatym zalotnikiem dlatego tylko, że nie miał tytułu, ale on nie był nawet w przybliżeniu tak przystojny...

- Caitlin! - Tak, bezsprzecznie musimy stąd wyjść. Zniżam głos i biorę ją za łokieć. -

Posłuchaj mnie: przystojnych jest wielu mężczyzn. Jeśli pragniesz przystojnego mężczyzny, możesz wyjść za kowala. Nie po to cię szkole, abyś została zwyczajną żoną diuka.

Teraz staje się wyniosła.

- Diukini brzmi w mych uszach wystarczająco dobrze. Lord Gregory też nie jest królem.

Gdybyśmy były same, wymierzyłabym jej za to policzek.

- Nie, nie jest, ale to dojrzały mężczyzna dysponujący ograniczoną władzą, przez co stanowi dla nas o wiele pożyteczniejszą zdobycz niż Randolph. Caitlin, musimy już iść...

- Nie! Nie możemy wyjść; daleko jeszcze do północy. Nie chcę wychodzić. Nie zmusisz mnie.

- Mogę cię tutaj obedrzeć z twojego pysznego stroju.

- Randolphowi nie zrobiłoby to różnicy.

- Ale wszystkim innym tak, a mają nad nim liczebną przewagę.

- Randolph ma własnych towarzyszy...

- Randolph - mówię tracąc cierpliwość - własne to ma wciąż jeszcze pryszcze. Jest miłym młodym człowiekiem, Caitlin, ale jednak młodym. Moja droga, dzisiejszego wieczora, poza waszym małym romansiem dzieje się na tej sali w wiele więcej. Jestem twoją czarodziejską matką chrzestną i w pewnych sprawach musisz mi ufać. Wychodzimy.

- Nie wyjdę - mówi zadzierając buńczucznie podbródek. - Zostanę tutaj, aż minie północ. Jeśli chcesz, możesz zamienić mnie w ropuchę; Randolph mnie ocali i uczyni diukinią.

- Księżniczki są bezpieczniejsze - mówię ponuro nie przekonana wcale, czy to prawda.

W drugim końcu sali dandys w zielonych pończochach mówi coś z przejęciem do Lady Alison, a mnie przechodzi dreszcz. No cóż, nie mógł podsłuchać wiele poza tym, co głoszą ogólnie znane plotki, a my wkrótce będziemy już w karocy, daleko od tego wszystkiego.

- Caitlin! - podbiega do nas Randolph rozradowany i przymilny, niczym jakiś przyjazny pies.

- Dlaczego mnie zostawiłaś? Nie wiedziałem, gdzie się podziałaś. Zatańczysz ze mną jeszcze? Proszę, napij się trochę wina z mojego kieliszka, jeśli nie masz nic przeciwko temu. Przyszło mi na myśl, że możesz być spragniona...

Caitlin bierze od niego kielich i śmiejąc się popija trunek.

- Oczywiście, że z tobą zatańczę.

Spoglądam na Caitlin spod ściągniętych brwi i chrząkam.

- Przykro mi; ale ona nie może, milordzie...

- To moja matka chrzestna Juliana - nie daje mi skończyć Caitlin pociągając jeszcze jeden łyk wina i obdarzając Randolpha oszałamiającym uśmiechem - która jest przewrażliwiona na punkcie przyzwoitości i myśli, że jeśli zbyt często będę z tobą tańczyć, ludzie zaczną plotkować.

- Bo i zaczną - mówi Randolph pochylając się i całując mnie w rękę - bo każdy plotkuje o pięknie. - Prostuje się i uśmiecha do mnie z góry nie puszczając mojej dłoni. Policzki ma zarumienione, a palce bardzo ciepłe; wyczuwam poprzez skórę leciutki, miarowy łomot jego pulsu. Cóż innego pozostaje Caitlin, jak nie stając pod wpływem takiego ciepła?

- Randolphie! - jeden okrzyk, dwa głosy; z przeciwnych stron, poprzez rozstępujące się przed nimi morze gości zbliżają się ku nam Alison i Gregory. Alison dopada do nas bez tchu na chwilę przed swym mężem.

- Randolphie, kochanie moje - muzykanci zagrają na moją prośbę coś wolnego. Zatańczysz chyba ze swoją ułomną ciotką, prawda? Randolph zgina się w ukłonie; nie może jej przecież odmówić.

- A ja będę miał honor poprosić do tańca tę młodą damę - mówi gładko Gregory stając obok Caitlin - za przyzwoleniem jej miłej matki chrzestnej.

To nie prośba. Przez chwilę rozważam możliwość wymówienia się złym samopoczuciem, ale taki fortel zachwiałyby wiarę Caitlin w moją moc i dał Gregory'emu pretekst do zatrzymania mnie siłą, bym przenocowała tutaj i doszła do siebie pod opieką jego służby.

Rozmyślam się i staję pod kolumną, by obserwować tańczących. Usta Alison prowadzonej ostrożnie po parkiecie przez Randolpha poruszają się. Widzę jak wciska mu w dłoń mały woreczek; Randolph uśmiecha się pobłaźliwie i wsuwa go do kieszeni.

Alison ostrzega go więc przed Caitlin. Ten taniec doprowadza do szału swoją powolnością i jest stanowczo za długi; wyciągam szyję, żeby odszukać wzrokiem Caitlin i Gregory'ego, ale w tej chwili spostrzegam, że zaraz przepłyną w tańcu obok mnie.

- Tak, ze wszystkich kwiatów najbardziej lubię róże - mówi swobodnie Caitlin. (To również wystudiowane; dopóki jej tego nie nauczyłam, wołała niezapominajki).

Przynajmniej jedna z tych rozmów jest bez znaczenia, a Caitlin bezpieczna. Tymczasem Alison i Randolph tańczą wpatrzni w siebie; ona usiłuje dać mu coś na łańcuszku, a on wzbrania się przed przyjęciem. Mijają mnie, ale nic nie mówię; w chwilę później przesuwiają się znowu obok Caitlin z Gregory'm.

- W lewo w lewo w prawo, w lewo w lewo w prawo - słyszę, jak dyktuje jej Gregory, zanim nie oddalą się poza zasięg mego słuchu - to przyjemny układ i bardzo modny; musisz spróbować.

Bez wątpienia jakiś nowy taniec dworski. Ten stary kończy się wreszcie i rzucam się ku Caitlin tylko po to, by zostać zatrzymaną przez trupę rozhasanych akrobatów, którzy wpadają właśnie na salę.

- Bawicie się? - krzyczą fikając koziołki i wirując przede mną, a tłum śmieje się i gromadzi, by na nich popatrzeć. - Radujcie się, tańczcie! - Usiłuję ich ominąć, ale nadziewam się na pstro odzianego błazna żonglującego cynowymi pucharami. - Hej, rozweselimy was, na zaproszenie szczodrego lorda podbijemy was, zdobędziemy...

Odciągniecie naszą uwagę, myślę - ale od czego? Udaje mi się okrążyć żonglera, ale nigdzie nie dostrzegam ani Caitlin, ani Randolpha. Gregory też gdzieś zniknął.

Jednak Alison rzuca się w oczy aż za bardzo.

- Gdzie oni są? Co z nimi zrobiłaś?

Staje przede mną z dłońmi zaciśniętymi na delikatnym jedwabiu swej sukni.

- Odwróciłam się tylko na chwilę od Randolpha, żeby odpowiedzieć na zapytanie sługi, a kiedy znowu spojrzałam, jego już nie było...

- Milady, ja stałam na uboczu. Bez wątpienia widziałas mnie, pani. Mam szczerą chęci zastosować się do twojego życzenia i wyjść, i to zamieszanie nie podoba mi się tak samo, jak tobie.

- Znam cię - syczy przyciszonym głosem dygocząc. - Wiem kim jesteś. Mówiłam Randolphowi, ale on mi nie wierzy, a Gregory'ego rozpad zwyczajnie bawi.

Zdemaskowałabym cię w tej sali i rozesłała miejskich obwoływaczy, żeby rozgłosili prawdę o tobie, tylko że wtedy rozniosłoby się wśród przyzwoitych chrześcijan, że mój dobry lord zadawał się z taką kreaturą.

I runąłby wtedy twój dom, a bogactwa zostały splądrowane, myślę; tak, biedota tylko czeka na takie preteksty.

- Dobrze wiesz, czemu zachowujesz milczenie, Alison. W ten sposób kupujesz sobie bezpieczeństwo.

Ale nie śmiem powiedzieć głośno tego, o czym ona i tak wie.

- Jestem taką samą kobietą, jak ty, milady, i mnie też niepokoi zniknięcie Randolpha i dziewczyny...

- Bzdura. Oboje są czarującymi, świetnie tańczącymi młodymi ludźmi. - Pojawił się znowu Gregory; jest uprzejmy i wytworny, sprawia wrażenie bardziej zrelaksowanego niż przez cały wieczór i coraz mniej mu ufam.

Alison, sądząc z jej miny, również.

- A gdzież to ukryłeś dwa nasze wzory doskonałości, mój panie?

- Ja? Nigdzie ich nie ukryłem. Bez wątpienia wymknęli się stąd i znaleźli sobie jakiś ustronny kącik. Młodzi robią takie rzeczy. Alison, moja słodczy, wyglądasz na zmęczoną...

- Starzy również, kiedy nadarzy im się po temu okazja. Nie, nie mam zamiaru wycofać się ku twej wygodzie i pozostawić cię sam na sam z tą kreaturą. O wiele bardziej cenię sobie twoją duszę.



- Szkoda że nie ciało - mówi Gregory unosząc brew. - No cóż, zatańczmy więc może wszyscy troje? Biorąc się za ręce, jak to robią dzieci? A może usiądziemy i powiemy sobie, co nam leży na sercu, albo zagramy w karty? Co wybieriecie, moje najpiękniejsze?

Alison ujmuje go za rękę.

- Chodźmy poszukać naszego bratanka.

Gregory wzdycha i wznosi do nieba oczy, ale daje się jej pociągnąć za sobą. Jestem rada, że się ich pozbyłam; teraz mogę wszcząć poszukiwania na własną rękę i szybko się stąd wynieść. Rozmowa z Alison napawa mnie niepokojem. Jest zbyt ostrożna, by zniszczyć nas tutaj, ale może przecież wysłać kogoś za nami, kiedy opuścimy już zamek.

Przemierzam więc korytarze, przecinam dziedzińce zaglądając we wszystkie kąty i za kolumny, wspinając się krętymi schodami i zbiegając nimi dopóki nie spostrzegam, że zablądziłam i nie słyszę już muzyki rozbrzmiewającej w wielkiej sali. Natykam się na innych potajemnych kochanków, na niewyraźne kształty obejmujące się w cieniach, ale nie ma wśród nich Caitlin z Randolphem. Zajrzawszy w ostatni zakamarek, jaki udaje mi się znaleźć przypominam sobie rozmowę Caitlin i Gregory'ego o różach i wybiegam szybko na zewnątrz drzwiami, których nigdy dotąd nie widziałam, ale zalane księżycową poświatą ogrody nic mi nie zdradzają. Niebo mówi mi, że to już północ; Caitlin będzie miała uciechę, udało jej się wymknąć.

Gdziekolwiek jest. Te sale i tereny są zbyt rozległe; nie znajdę jej do świtu, choćbym wędrowała po nich całą noc. Gregory wie, gdzie ona jest; jestem przekonana, że to on zaaranżował zniknięcie tej pary. Mógł to zrobić po to, by mnie zmusić do zgody na schadzki. To byłoby do niego bardzo podobne; gdybym przyszła do niego, kiedy jego goście plotkują i tańczą w wielkiej sali, miałby swój dreszczyk emocji. Gregory uwielbia prywatne niedyskrecje popełniane na publicznych zgromadzeniach.

A więc ten jeden raz wezmę udział w jego grze, chociaż drażni mnie ona, pójdę z nim do łóżka, będę przebiegła i przymilna. Wracam do wnętrza i idę znajomymi korytarzami do komnat Gregory'ego, zerkając co chwila przez ramię, czy ktoś mnie nie widzi.

Po drodze muszę przejść obok małej kapliczki, w której Lady Alison oddaje się swoim modłom, i kiedy ją mijam, słyszę jęki bólu. Zatrzymuję się nasłuchując, świadoma, że może to być pułapka - ale jęk rozbrzmiewa znowu, a wyrażane nim cierpienie nie jest chyba udawane: to cienki, dziecinny szloch wydawany wyraźnie przez kobietę.

Caitlin? Przypominają mi się groźby Alison i ciemnieje mi na chwilę przed oczyma. Kryjąc się w cieniu wślizguję się do komnaty spięta do skoku. Jeśli Alison zwabiła tu dziewczynę... Alison rzeczywiście tu jest, ale nie ma z nią Caitlin. Żona Gregory'ego, zgięta we dwoje przed ołtarzem, chwyta spazmatycznie oddech i trzyma się kurczowo za bok; twarz ma spoconą, poszarzałą, źrenice rozszerzone. Spostrzega mnie, wzdryga się i żegna z nawyku znakiem krzyża; ręka jej drży, ale panuje nad głosem.

- I co? Ty też ich nie znalazłaś?

- Milady Alison, co...

- Zapewniał, że to szybko działająca trucizna - mówi z wykrzywioną bólem twarzą - ale albo ja jestem silniejsza, niż myśli, albo dawka słabsza. Byłam zmęczona - moja noga...

przyszliśmy tutaj, było blisko. Poprosiłam go, żeby się ze mną pomodlił i pokajał się bardzo ładnie. „Przyniosę trochę wina”, powiedział, „i napijemy się oboje za moje zbawienie”.

Przyniósł dwa pucharki i wzięłam ten, który mi podał... Myślałam o jego zbawieniu i ulga przytępiła mi rozum. „To wino przyprawione korzeniami”, powiedział, „Sam utarłem je dla ciebie”, i bez wątpienia tak zrobił. Żeby nikt inny ich nie spróbował.

Tak długi monolog wyraźnie ją wyczerpał; roztrzęsiona pomogłam jej dojść do krzesła. Jakim motywem mógł się kierować Gregory zabijając swoją żonę? Jej dar obserwacji, chociaż rzadko go wykorzystywał, był dla niego cenną rzeczą i trudno przypuszczać, by czuł się skrepowany małżeńskimi więzami; nigdy się nimi nie przejmował, kiedy Alison żyła.

- Jak to dobrze, że wierzę w sprawiedliwość boską - podejmuje Alison. - Na tym świecie nikt nie wymierzy mu kary. Będą udawali, że wierzą, iż zjadłam nieświeże mięso albo żółć mnie zalała.

- Zamilknij i oszczędzaj swe siły - radzę jej, ale mówi dalej płacząc teraz i poprzez spazmy próbuje niezręcznie otrzeć sobie łzy z twarzy.

- Znudził się mną, bo jestem stara. Znudził się żoną, która odmawiała modlitwy i kochała dzieci innych ludzi, chociaż nie mogła mieć własnych. Bez wątpienia ciebie umieści teraz u swego boku, bo jesteś stworzona z ciemności i kradniesz córki prostych ludzi.

Cokolwiek wyobraża sobie Alison, Gregory jest zbyt przebiegły, by uczynić mnie swą formalną małżonką.

- Wybieramy córki tylko wtedy, gdy jedna z nas zostanie zabita, Lady Alison. Nie pragniemy niczego więcej ponad to, czego pragnie każdy - żyć dalej, bezpiecznie.

- Ja będę żyć dalej w niebie - mówi i wybucha płaczem, piskliwym zawodzeniem, które wydobywa się ze świstem poprzez jej zaciśnięte zęby. Nie brzmi to już po ludzku.

Klękam obok niej niepewna, czy będzie w stanie zrozumieć moje słowa. Cokolwiek powiedział Gregory, nie wygląda to na szybko działającą dawkę trucizny; minie prawdopodobnie wiele godzin, zanim umrze i niewykluczone, że do tego czasu postrada zmysły.

- Nie mogę cię ocalić, milady, ale mogę uczynić twój koniec szybkim i bezbolesnym.

- Nie potrzebuję łaski od takich, jak ty!

- Musisz szukać łaski tam, gdzie możesz ją znaleźć. Któż inny ci pomoże?

Pojękuje i dygocząc ulega.

- Nie wypowiadałam się. Mógłby mi na to pozwolić.

- Ale nie pozwoli. Może pewnego dnia obwołają cię świętą i wtedy twoje męczeństwo wyjdzie na jaw; na razie jedynymi ostatnimi posługami, na jakie możesz liczyć, są moje. Znowu się żegna, ale tym razem uniesienie ręki sprawia jej wyraźną trudność.

- Prawdziwa śmierć?

- Prawdziwa śmierć - mówię łagodnie. - Nie powtarzamy bólu w nieskończoność.

Uniesione wargi obnażają jej zęby.

- Uczynj zatem ten akt łaski; a kiedy znajdziesz się już tam, gdzie masz się znaleźć, powiedz Gregory'emu, że daleko gorzej niż mnie skrzywdził samego siebie.

To szybkie i bezbolesne, jak jej obiecałam, ale kończąc cała dygoczę a myśl o stanięciu oko w oko z Gregorym napawa mnie przerażeniem. Będę musiała udawać, że nie wiem, iż zamordował własną żonę; będę musiała być czarująca i uwodzicielska i maskować troskę o bezpieczeństwo swoje i Caitlin, by móc ukryć przed nim jej pochodzenie.

Pukam do jego drzwi i słyszę ciche:

- Wejdz. - Nawet tutaj potrzebuję zaproszenia, żeby wejść do tej komnaty, gdzie Gregory rozwalony na łożu w rozluźnionych już szatach obierać będzie jabłko, albo podpiłowywać sobie paznokcie.

Dzisiejszego wieczora komnata jest nieoświetlona. Dostrzegam kogoś siedzącego przy oknie, czyjaś sylwetkę rysującą się na tle księżycowej poświaty; dopiero gdy moje oczy przywykają do ciemności uświadamiam sobie, że tego zaproszenia nie wystosował Gregory. Zamiast niego czeka tu ksiądz otoczony krucyfikami, flakonikami z wodą święconą i gipsowymi posążkami świętych. Na łożku, na którym tak często leżałam, spoczywa coś długiego i ostrego, czemu usiłuję nie przypatrywać się zbyt dokładnie.

- Witam - mówi kapłan, gdy zatraskują się za mną drzwi. Powinam odwrócić się i wybiec, ale teraz jest już za późno; zamarłam na widok księdza, jak podobno zamierają zwierzęta na widok nieoczekiwanego blasku. Z korytarza dobiegają moich uszu ciężkie kroki - a zatem korytarz jest strzeżony.

Książd trzyma otwartą Biblię; spuszcza na nią wzrok, a potem, z grymasem obrzydzenia, spogląda w bok, na łóżko.

- Nie, o pani, nie dojdzie do tego. Nie musisz robić takiej przerażonej miny.

Nie odzywam się. Powtarzam sobie w duchu, że muszę myśleć jasno i bardzo szybko, ale myśli nie mogę zebrać wcale. Ostrzegają nas przed tymi małymi pomieszczeniami, tymi przyborami. Wszystkie ostrzeżenia, jakie słyszałam na nic mi się nie zdają.

- Tam jest okno - mówi książd. - Gdybyś musiała, mogłabyś nim wyskoczyć. Kiedy będą mnie wypytywać, powiem im, że tak właśnie uciekłaś. - Pokazuje na swój policzek i dostrzegam na nim cienką, straszną szramę biegnącą od czoła do szczęki. - Gdy byłem jeszcze dzieckiem, ojciec zabrał mnie na kłusowniczą wyprawę na dzika na tereny naszego pana. To było moje pierwsze polowanie. Nauczyło mnie nie przypierać do muru przerażonych zwierząt, zwłaszcza gdy mają one młode. Siadaj, pani. Nie bój się.

Siadam ostrożnie i bez nadziei, a on zamyka księgę z cichym szelestem wzdychającego pergaminu.

- Boisz się, oczywiście; no i masz rację. Lord Gregory zastawił na ciebie pułapkę mając na uwadze, jak sam twierdzi, względy pobożności, ale jego pobudki mają niewątpliwie więcej wspólnego z polityką; Lady Alison snuła własne plany zniszczenia ciebie a Kościół uznał, że twoje winy są nie do odkupienia. Zostałaś jednogłośnie skazana na spalenie na stosie. I właśnie dlatego... - uśmiecha się - ...jestem tutaj. Czy wierzysz w Boga, moja droga? Czy twój rodzaj wierzy w cuda?

Gdy nadal milczę, uśmiecha się znowu i ciągnie lekko, jakbyśmy gawędzili na dole wśród tańczących.

- A powinien. To właśnie coś w rodzaju cudu sprowadziło cię do mnie. Modliłem się o to od bardzo wczesnej młodości, a teraz jestem już stary i moja modlitwa została wreszcie wysłuchana. Wstępowałem na drogę religijnego życia ledwie wyrósłszy z wieku chłopięcego i mam za sobą wiele lat wyrzeczeń, ale teraz widzę, po co było to wszystko.

Śmieje się całkiem sympatycznie. Jego życzliwość przeraża mnie. Boję się, że jest szalony.

- Pochodzę z ubogiej rodziny - mówi. - Byłem najmłodszym synem, a więc, naturalną kolejną rzeczą, zostałem księdzem. Kościół nie zyskuje synów w normalny sposób, odbiera ich więc innym ludziom i upoważnia najlepszych młodych mężczyzn do pomnażania stadka dusz. Ty i ja nie różnimy się, jak zatem widzisz, tak bardzo.

Opada na oparcie swojego krzesła.

- W mojej rodzinie było jeszcze dziesięcioro dzieci. Czworo zmarło. Najmniejszą i najśłabszą była moja siostra. Pewnego dnia odwiedziła ją bardzo piękna kobieta, uczyniła ją piękną, zabierała ze sobą na przyjęcia, a potem uprowadziła. Nie miałem nawet okazji pożegnać się z moją siostrą - na imię miała Sofia - i nigdy nie mogłem jej powiedzieć, że chociaż wiedziałem, czym się stała, wciąż ją kocham. Myślałem, że będzie wracać.

Pochyla się z przejściem w przód i jego krzesło skrzypi.

- Zawsze modliłem się o wskazanie mi drogi, którą mógłbym do niej dotrzeć. Kościół każe mi cię zniszczyć, ale ja nie wierzę, aby Bóg chciał twej zguby - bo przysłał cię do mnie, który myślę o tobie tylko w kategoriach żalu, wdzięczności i miłości. Cieszę się, że moja siostrzyczka uczyniona została piękną. Jeśli ją znasz, Sofię o zielonych oczach i złotych włosach, przekaż jej, że Thomas ją kocha, dobrze? Powiedz jej, że jestem niewątpliwie heretykiem, bo wybaczam jej to, czym jest. Powiedz jej, że myślę o niej codziennie, kiedy przyjmuję Komunię Świętą. Uczynisz to dla mnie?

Patrząc na niego zastanawiając się, czy strażnicy w korytarzu słyszą te słowa przez grube drewniane drzwi. Wzdycha.

- Ależ podejrzliwa! Tak, oczywiście, że to uczynisz. Przekażesz moją wiadomość, a ja powiem, że omotałaś mnie swoimi czarami i uciekłaś przez okno, zgoda?

- Zabiją cię - ostrzegam go. Spokój mojego głosu szokuje mnie. Jestem teraz zła: nie na Lorda Gregory'ego, który mnie zdradził, nie na Lady Alison, która również mnie zdradziła i umarła w przeświadczeniu, że sypiam z jej mężem, ale na tego lawirującego świętego człowieka, który bredzi o cudach i lekceważy własne bezpieczeństwo.

- Ci, którzy wystawili strażę u drzwi powiedzą, że zostałeś pewnie opętany przez demony, skoro pozwoliłeś mi uciec.

Kiwa głową i poklepuje dłonią księgę.

- Całkiem prawdopodobne, że zabiją nas oboje. Lady Alison zamierza rozstawić patrole na gościńcach. A więc nie wie.

- Lady Alison nie żyje, Gregory ją otruł.

Blednie i pochyla na chwilę głowę.

- Ach. A więc to na pewno sprawa polityczna i dzisiejszej nocy nikt nie jest bezpieczny. Zyskałem dla ciebie bardzo niewiele czasu; musisz go jak najlepiej wykorzystać. Teraz już idź, zabierz swoją podopieczną i uciekajcie, i Bóg niech będzie z wami obiema. Ja będę zawodził egzorcyzmy i opóźniał pościg, dobrze? Idź, skorzystaj z okna.

Korzystam z okna. Nie lubię zmieniać postaci i robię to tylko w chwilach skrajnego zagrożenia; zbyt wiele pochłania to energii, a odczuwany w konsekwencji głód może popchnąć do nierozwagi. Zmieniam się w sowę. Nie jest to wybór typowy, ale dobry, potrzebuję bystrego wzroku i postaci, która nie wzbudzi podejrzeń u czujnych obserwatorów. Widzę z tej wysokości całą posiadłość: zamek, przyległe do niego ziemie, ogrody, ścieżki, fontanny... i coś jeszcze, o czym dotąd nie wiedziałam i czego nie mogłam zauważyć z ziemi. Wysokie żywopłoty ciągnące się wzdłuż traktu prowadzącego do zamku stanowią na pewnym odcinku bok labiryntu, jednego z tych zdobnie strzyżonych kaprysów, które to wchodzi do botanicznej mody, to znów z niej wychodzą. Pośrodku znajduje się mały różany ogród z białą fontanną; na cembrowinie fontanny siedzą bardzo blisko siebie dwie skrócone perspektywą postaci. Tuż poza granicami tego centralnie położonego zakątka, w ślepych zaułku, przez który przejść musi każdy, kto pragnie się wydostać z labiryntu, stoi w ukryciu jeszcze jedna postać.

W lewo w lewo w prawo. Gregory wcale nie objaśniał kroków nowego tańca; pouczał Caitlin, jak dojść do różanego ogrodu, do ustronnego miejsca, gdzie będą się mogli ukryć z Randolphem przede mną i przed Alison poszukującymi ich gorączkowo. Bez wątplenia wyszedł ze swoją żoną po to, by odciągnąć ją od tego miejsca; zważywszy na chorą nogę Alison i odległość dzielącą labirynt od zamku, nie nastęczyło mu to zbytnich trudności. Łąduję kilka stóp za jego plecami i powracam do własnej postaci. Głód i nienawiść dodają mi siły i tak już przewyższającej jego siłę. Nie spodziewa się ataku od tyłu; zbijam go z nóg i powalam na ziemię, jego broń i czary rozsypują się w ciemnościach i zanim ma czas krzyknąć, już wykręcam mu do tyłu rękę.

- Nie umarłam - mówię mu bardzo cicho do ucha - ale twoja żona nie żyje, a ty wkrótce do niej dołączysz.

Skowyczy i wyrywa się, ale jeszcze mocniej wykręcam mu ramię i w końcu dysząc poddaje się.

- Dlaczego, Gregory? Po co było to wszystko? Żebyś mógł ich szpiegować szepcząc jednemu i drugiemu poezje? Na pewno nie o to chodziło. Powiedz mi!

- Żeby zostać diukiem.

- Kosztem życia własnej żony?

- Kosztem życia chłopca.

- W jaki sposób? - pytam ostro, myśląc o Randolphie i Caitlin pijących z tego samego kielicha. - W jaki sposób chcesz go zabić? Znowu trucizna?

- Ona go zabije - mówi cicho - bo jest już pobudzona, a nie zna jeszcze swoich żądź i nie umie ich kontrolować. Czyż nie tak, milady?

Mój własny głód pulsuje mi czerwienią przed oczyma.

- Nie, milordzie. Caitlin nie jest narzędziem mordy: ona nie wie jeszcze, czym jest, ani skąd się bierze jej łaknienie. Nie potrafi posilać się sama, podobnie jak młoda kotka uzależniona od matki kocicy, która znosi jej pożywienie i uczy, jak jeść.

- Nauczysz ją tego na moim skamlącym bratanku, gwarantuję ci to.

- Nie, milordzie Gregory. Nie zrobię tego. Co gorsza, nie nauczę jej również na tobie; jedząc kaleczymy, podobnie jak kotki, będzie się wprawiać na małych zwierzętach, dopóki będą jej wystarczać. Chciałabym ujrzeć cię pokaleczonego, milordzie.

Zamiast tego łamię mu kark tak samo wprawnie, jak złamałam go Alison. Potem, gdy ciało jest jeszcze ciepłe, posilam się do syta; miałabym z tego więcej przyjemności, gdyby jeszcze żył, ale nie zasłużył sobie na więcej rozkoszy. Z karmienia mnie czerpał jej tyle, ile rzadko dawała mu kopulacja; błagał mnie, bym robiła to częściej i teraz jestem rada, że się wzbraniałam. I tak był już potworny, a zostając jednym z nas stałby się jeszcze gorszy. Skończywszy, oblizuję do czysta palce, ocieram najlepiej, jak umiem twarz i wciągam, ciało głębiej w ślepy zaułek, gdzie nieprędko ktoś je zauważy. Wzdrygając się, ukrywam najbardziej oczywistą i najniebezpieczniejszą broń Gregory'ego, po czym wkraczam do różanego ogrodu.

Caitlin, promienna w księżycowej poświacie, siedzi na cembrowinie fontanny, tak jak ją widziałam z powietrza. Randolph podaje jej białą różę, którą najwyraźniej dopiero co zerwał, na jego dłoniach, tam gdzie zadrapały je kolce, jest krew. Caitlin bierze od niego różę i pochyla się, by ucałować jego palce; koniuszek jej języka zmierza błyskawicznie ku świeżym ranom.

- Caitlin! - Odwraca się przestraszona i puszcza dłonie Randolpha. - Caitlin, musimy już iść.

- Nie pójdę - mówi; oczy ma rozplomienione. - Nie pójdę. Już po północy i sama widzisz - nic strasznego się nie wydarzyło.

- Musimy iść - mówię stanowczo. - Chodź.

- Ale będę mogła wrócić? - mówi śmiejąc się, a potem zwraca się do Randolpha:

- Wróć. Wkrótce, obiecuję ci. Przyjdę na następne tańce, a może jeszcze wcześniej. Matko chrzestna, przyrzeknij mi, że będę mogła wrócić...

- Chodź, Caitlin! Życzymy ci dobrej nocy, Randolphie...

- Czy mogę paniom towarzyszyć do wyjścia z labiryntu?

Przychodzą mi na myśl obserwatorzy na gościńcu, obserwatorzy, którzy do tej pory mogli już zainteresować się labiryntem. Żałuję, że nie mogę go ostrzec, przekazać w jednej chwili całej wiedzy o tym świecie. Ukryj się, Randolphie; opuść jak najszybciej to miejsce i uchodź szybko sekretnymi drogami do łóża swego ojca.

Ale nie mogę jeszcze mówić otwarcie w obecności Caitlin, a czasu mamy tylko tyle, by same się ratować. Może na krótko uchroni go labirynt.

- Dziękujemy, milordzie, ale znamy drogę. Lepiej zostań tutaj i myśl o nas dobrze; ludzka życzliwość wspomaga moją magię.

- A zatem, cokolwiek wygaduje moja ciotka, będziesz miała jej pod dostatkiem.

Caitlin rusza wreszcie ociągając się i paplając. Gdybym była sama, uciekłabym zmieniając postać, ale Caitlin nie opanowała jeszcze tej umiejętności, a gdybym powiedziała jej teraz, co nam grozi, wpadłaby w panikę i nie dałabym sobie z nią rady. Prowadzę więc ją - w prawo w lewo, w prawo w prawo w lewo - nie kończącymi się meandrami.

Ale w labiryncie nie natykamy się na nikogo i kiedy wychodzimy wreszcie na otwartą przestrzeń, nie czekają tam na nas w zasadzce żadni księża. Z zamku dobiegają nadal przyciszone tony muzyki; nie zauważono jeszcze nieobecności gospodarza i gospodyni, a dobry ojciec wciąż pewnie mruczy w komnacie zaklęcia.

I tak bezpiecznie docieramy do karocy, pomagam Caitlin wejść do środka i każę woźnicy zawieźć nas do jednego z tych miejsc, które przygotowałam na takie nieprzewidziane

sytuacje. Powinniśmy się tam znaleźć przed wschodem słońca. Mogę mieć tylko nadzieję, że obserwatorzy Lady Alison, znużeni lub owładnięci strachem, poniechali swoich obowiązków; trudno to stwierdzić. Nasłuchuję tętentu kopyt na gościńcu za nami i nic nie słyszę. Może tym razem miałyśmy szczęście.

Caitlin nie wie, co widziałam tam, w różanym ogrodzie. Papie o nim w karocy.

- Wyszliśmy w świetle księżycy do ogrodu - pocałował mnie i ujął za ręce, bo jak mówił, były zimne. Jego dłonie były takie ciepłe! Powiedział mi, że jestem piękna; powiedział, że mnie kocha. I zerwał dla mnie kilka róż, a z miejsc, gdzie zranił się kolcami, pociekła krew.

Krwawił dla mnie, matko chrzestna - och, to on! To jest ten mój książę. Jak mogłabym go nie pokochać?

Nie odzywam się. Nie wie jeszcze, co kocha. Po chwili milczenia pyta:

- Dlaczego nie jesteśmy jeszcze w domu? Tak długo to trwa. Jestem głodna. Nie jadłam nawet obiadu.

- Nie jedziemy do domu - mówię do niej zapalając swoją latarnię i ściągając w dół zasłonki, by zasłonić okna karocy. - Zdemaskowano nas, Caitlin. Całkiem możliwe, że jesteśmy śledzone. Zabieram cię w bezpieczne miejsce. Będzie tam pożywienie.

- Zdemaskowano? - śmieje się. - Co zdemaskowano? Że jestem biedna? Że kocham Randolpha? Cóż mogą mi zrobić? On mnie ochroni, tak powiedział. On mnie poślubi. To jest ta chwila, kiedy muszę jej powiedzieć. Ból nie jest ani trochę mniejszy, chociaż robiłam to już tyle razy.

- Posłuchaj mnie, Caitlin. Nigdy nie poślubisz Randolpha, ani nikogo innego. Nigdy nie robiłam ci co do tego złudzeń. Przykro mi, że musisz to teraz usłyszeć. Chciałam, żebyś dowiedziała się tego w delikatniejszy sposób. - Patrzy na mnie oszołomiona i uśmiecham się do niej smutno - przybieram wyraz twarzy, o który mnie nagabywała, o który mnie prosiła, zdziwiona, że jej nie ulegam; i kiedy teraz go widzi, pojmuje. Jasne oczy rozszerzają się, piękne dłonie unoszą się do szyi; odsuwa się ode mnie żegnając znakiem krzyża, jakby naśladowała Lady Alison.

- Tak czy inaczej - mówi do mnie drżąc - odejź, przepadnij, demonie. Nadaremnie zachwalasz ten dar...

Myślę o Thomasie śpiewającym mężnie w pustej, kamiennej komnacie, podczas gdy za drzwiami czuwają uzbrojeni ludzie.

- Zachowaj dla siebie swoje uroki, Caitlin. Na nic ci się zdadzą. Czyż nie rozumiesz, dziecko? Sądzisz, że dlaczego wszyscy zaczęli patrzeć na ciebie tak dziwnie; sądzisz, że dlaczego nie dawałam ci zwierciadła? Co, według ciebie było w zupie, którą ci podawałam?

Dłonie wędrują jej teraz do ust, do małych, ostrych ząbków. Wydaje okrzyk pojmując wszystko na raz - swoje dziwne znużenie po kilku pierwszych balach, krew, którą od niej pobierałam dla uzdatnienia, swe zmieniające się godziny snu i czuwania i zmieniające się pragnienia - i, jak zawsze, ta chwila narodzin rozdiera resztki serca, jakie mi jeszcze zostały. Bo przez tę chwilę młode stworzenie siedzące naprzeciw mnie nie jest terminującą łowczynią, jaką je uczyniłam, ale niewinną, młodą dziewczyną, która stoi z odbijającym się w oczach sercem, ściskając w dłoniach to pierwsze zaproszenie na bal. Ja? Ja zostałam zaproszona? Zmuszam się, by nie odwrócić głowy, gdy Caitlin krzyczy:

- Oszukałaś mnie! Ta historia nie była prawdziwa!

Orze sobie twarz kształtnymi paznokciami, a drogę, którą przebywają jej palce, znaczą bruzdy rozdrapanego ciała.

- Nie potrafisz już płakać - mówię jej. Płakałabym z nią, gdybym potrafiła. - Nie możesz już też krwawić. Przekroczyłaś ten etap. Nie oszpecaj się.

- Ta historia była stekiem łgarstw! Nie było w niej ani krzty prawdy, nigdy...

Czynię swój głos zimnym, jak żelazo.

- Ta historia była co do joty prawdziwa, Caitlin. Po prostu nigdy dotąd nie opowiedziano ci jej całej.

- Ona nie miała się tak skończyć! - Jedyne łzy, jakie potrafi uрониć, tkwią w jej głosie. - W tej historii dziewczyna zakochuje się w księciu i wychodzi za niego za mąż, i... wszyscy to wiedzą! Okłamałaś mnie! To nie jest właściwe zakończenie!

- To jedyne zakończenie! Jedyne, jakie istnieje - Caitlin, ty na pewno to rozumiesz. Żyjące kobiety nie mają tutaj większej ochrony, niż my. Jak my karmią swoich mężczyzn i jak my potrzebują zezwoleń, by wchodzić do domów i chadzać na tańce, i są zależne od uroku pozorów. Istnieje tylko jedna różnica: ty nigdy, przenigdy nie będziesz wyglądała tak, jak Lady Alison. Nigdy nie będziesz wyglądała jak twoja matka.. Uciekłaś przed tym.

Wpatruje się we mnie i kuli w kącie karocy z wyciągniętymi przed siebie rękami - swoimi drogocennymi rękami, które trzymał, które całował Randolph ogrzewając je własnymi.

- Ja go kocham - mówi opornie. - Kocham go, a on kocha mnie. Ta część jest prawdziwa...

- Kochałaś jego krwawiące dłonie, Caitlin. Gdybym ci nie przerwała, posiliłabyś się z nich, uświadomiłabyś sobie wtedy prawdę i znenawidziła go za to. A on znenawidziłby ciebie za to, że pozwoliłaś mu mówić o miłości będąc przez cały czas dokładnie tym, przed czym ostrzegała go ciotka.

Wargi jej drżą. Nienawidzi mnie za to, że widziałam i za to, że mówię jej prawdę. Nie rozumie, co nam grozi; nie wie, jak umarła kobieta, z której szydziła wszystkie te tygodnie, ani jak bliska śmierci była sama.

Gregory był przebiegłym człowiekiem; plan był bez zarzutu. Oddać Randolpha na pastwę Caitlin i zabić Caitlin, gdy będzie próbowała wydostać się z labiryntu; Gregory opłakiwałby publicznie bratanka w ogólnie przyjęty sposób i obwołano by go bohaterem za zamordowanie jednego szatana osobiście, podczas kiedy drugi został zgładzony w zamku. Wyciszyłoby to wszelkie pogłoski o jego własnej duszy; być może dał się skusić, ale na pewno jest już znowu czysty, jeśli znalazł w sobie tyle prawości, by zabić te bestie.

Och, tak, był przebiegły. Alison znałaby prawdę i nigdy nie przyjęła tytułu zdobytego przez zamordowanie Randolpha. Alison zburzyłaby cały plan, ale uciszanie żon nie nastęrcza zbyt trudności.

- Mogę się pomodlić? - pyta mnie Caitlin, gdy pędzimy z turkotem na spotkanie brzasku. - Skoro nie mogę już ronić łez, ani płakać, jeśli nie mogę kochać, to czy mogę się jeszcze modlić?

- Możemy się modlić - odpowiadam jej łagodnie, wracając znowu myślami do Thomasa, który mnie oszczędził, do tych subtelnych więzów pomiędzy żywym, a martwym. - Przede wszystkim musimy się modlić, żeby ktoś nas usłyszał. Wszystko jedno, Caitlin. Ta sama historia, z tą tylko jedną różnicą.

Drży wciskając się z zamkniętymi oczyma w kąt karocy. Kiedy się w końcu odzywa, w jej głosie słyszę oszołomienie.

- Nigdy już nie zobaczę matki.

- Ja jestem teraz twoją matką. - Czymże są matki i córki, jeśli nie kobietami dzielącymi krew? Z jej krtani dobywa się cichy skowyt, a ja głaszczę ją po włosach. W końcu mówi:

- Nigdy się nie zestarzeję.

- Zestarzejesz się tak, jak te wzgórza - mówię otaczając ją ramieniem, jakbym uspokajała dziecko, które obudziło się ze złego snu - ale nigdy nie staniesz się szkaradna. Będiesz zawsze tak piękna, jaką jesteś teraz, tak piękna, jaką jestem ja. Będą ci rosły włosy i paznokcie, a ja będę ci je przycinać, żeby wciąż były piękne i będziesz brała udział we wszystkich tańcach i zakładała za każdym razem inną suknię.

Mruga powiekami i skubie bez celu skromny materiał swej sukni, która znowu jest kuchenną kiecką.

- Nigdy nie będę szkaradna.

- Nigdy - mówię. - Nigdy się nie zmienisz. - Nie umiemy płakać, ani krwawić, ani się starzeć; jest tyle rzeczy, których nie możemy. Ale dla niej jest to teraz pociecha.

Obejmuje się ramionami cała drżąca, a ja przysuwam się do niej, przytulam ją do siebie i kołyszę do tego szczególnego snu, który przyjdzie o świcie. Byłoby lepiej gdyby był tutaj Randolph ze swym ludzkim ciepłem, ale przynajmniej nie musi być sama. Pamiętam swój własny szok i rozpacz, chociaż miały one miejsce dawniej, niż może to pamiętać ktokolwiek nie będący jednym z nas; ja również usiłowałam się modlić, a potem byłam wdzięczna swojej matce chrzestnej, że została ze mną.

Po chwili oddech Caitlin uspokaja się i jestem rada, że nie powiedziała, jak czyni to wiele z nich: Teraz nigdy nie umrę.

Chronimy nasze młode, tak jak śmiertelne matki chronią swoje - te ludzkie kobiety, które z konieczności są tak samo jak my drapieżne i tak samo zależne od zaproszenia na posiłek - istnieje więc kilka prawd, których jej nie zdradziłam. Wkrótce się o nich dowie.

Jest piękniejsza od Lady Alison i od swojej matki, ale ani trochę mniej podatna na zranienie niż one. W jej wielkiej urodzie zawiera się pewność jej zguby. W tym królestwie, gdzie można truć żony w ich własnych komnatach i gdzie mordercy nigdy nie ponoszą kary, nie istnieje prawo, które chroniłoby kobiety. A jeszcze mniej w nich praw, które chroniłoby nas. Powiedziałam jej, że nie stanie się szkaradna, ale nie powiedziałam, jakim przekleństwem może stać się uroda, jak raz za razem zmuszona będzie do ucieczki przed plotkami na temat jej nieprzemijającej piękności i wszystkiego, co daje to do myślenia. Przybywać będą mężczyźni, by ją karmić, całować i znosić róże; ale przez wszystkie te wieki szlachetnych książąt przysięgających miłość, nieuchronnie pojawi się ktoś - zazdrosna żona lub zblazowany lord, wieśniak czy ksiądz - kto słyszał te pogłoski i uwierzył w nie, kto przyjdzie na miejsce jej spoczynku w świetle dnia, kiedy nie będzie zdolna się poruszać, niosąc młotek i drewniany kołek.